



Fot. J. Koczoń

PŁOWY śledzi na wodach kanału La Manche przypominają zawsze wielki bieg na przelaj, kiedy to do walki o lepsze może zgłosić się każdy. Wtedy stają obok siebie dziesiątki najprzeróżniejszych kształtów i wielkości; obok niskich widzi się długonogich dryblasów, a obok tych — figury, których obecność mimo woli wywołuje zdziwienie. Wielkość nagrody, dostępnej — zda się — przy pewnej dozie szczęścia i wysiłku, ożywia w chwili startu wszystkich taką samą nadzieją zwycięstwa.

Podobnie dzieje się na tych wodach w grudniu, kiedy na połowy wypływają dziesiątki statków rybackich. Obok ługrów, bezradnie ucepienych wielomilowych sieci, poławiają zwinne trawlerzy i kutry. Widzi się statki nowe i podeszłe w wieku, a często tak stare, że rżną odpała od nich wielkimi płatami. Każdy wierzy tu w swoje wielkie szczęście, wszystkich ożywia taka sama nadzieja zagarnięcia maksymalnej części skarbu skrytego w toni wód. O niego toczą też ze sobą walkę, walkę — jak każda — pełną podstępnych manewrów i nieoczekiwanych zdarzeń.

Ludzie owładnięci pasją srebrnego szaleństwa zapominają o wszystkim. Trałują jeden obok drugiego, przecinają kursy, wybierają sieci w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Gospodarze tych wód, traktowanych zgodnie z prawem za

międzynarodowe, bez szczególnej sympatii patrzą na każdą z obcych bander. A płyną tam co roku setki statków i tysiące ludzi. Obok tych, dla których wody kanału były miejscem pracy

POŻEGNANIE »KASSIOPEI«

przez wieki, zjawiają się nowi pretendenci, radzi rozszerzyć swoje posiadanie o morskie uprawy. Tak więc obok Anglików i Francuzów łowią Holendrzy, Niemcy i Belgowie, ale łowią też Rosjanie i Polacy — ludzie nowi na tym obszarze morza.

Jeśli połowy mają przebieg pomyślny, nikt nie wadzi nikomu. Statki uwiązują się między portem a łowiskiem, obciążone tonami ryb. Jeśli jednak śledzie zawiodą nadzieje rybaków — jak to miało miejsce właśnie w roku ubiegłym — nerwowość staje się powszechną. Szyprowie nie odchodzą od radia, nasłuchują wyników, zmieniają łowiska, przelatują z ławic Sandettie pod Dieppe i Boulogne; nie śpią, nie jedzą; żyją kawą i papierosami.

IN TAKIE właśnie kłębowisko statków i ambicji weszła

„Kassiopea”, trawler gdyniński-go, „Dalmoru”. W ciągu swej dziesięcioletniej pracy w przedsiębiorstwie „Kassiopea” odtworzyła pokaźny ładunek. Księgowość „Dalmoru” zanotowała na jej koncie 5 453 900 kg ryb wartości prawie 34 000 000 zł, a więc ilość i wartość niebagatelna. Zastąpiła tym samym siebie na kilka słów wzmianki, zwłaszcza że ten rejs był już jej ostatnią podróżą na morze.

Ten czterdziestoletni trawler kilkakrotnie zmieniał właścicieli i nazwę; pływał pod banderą brytyjską, francuską i polską, odwiedzał dalekie morza białej

ryby, śledziowe łowiska na Morzu Północnym i w kanale La Manche. Był dzielny na morzu, był życzliwy dla ludzi.

„Kassiopea” dowiodła tego i w ostatnim rejsie; jej kapitan, Kazimierz Romanowski, złowił w ciągu 7 dni 650 beczek śledzi. Ten wynik postawił go na piątym miejscu wśród rybaków „Dalmoru”.

Był to jednak odosobniony sukces na tych wodach; przeciętnie łowiono wówczas znacznie mniej i właśnie dlatego szyprowie gonili po wszystkich możliwych łowiskach; gdzie wydajność była duża, w ciągu kilkunastu minut robiono się czarno od statków. Obyło się wprawdzie bez poważniejszych kolizji, sytuacji trudnych było bardzo wiele.

FRANCUSCY rybacy nie wytrzymali widać tego wszystkiego nerwowo, gdyż dla ich ostony wychodziły kilkakrotnie z portów okręty wojenne. Jeden z nich przybliżył się

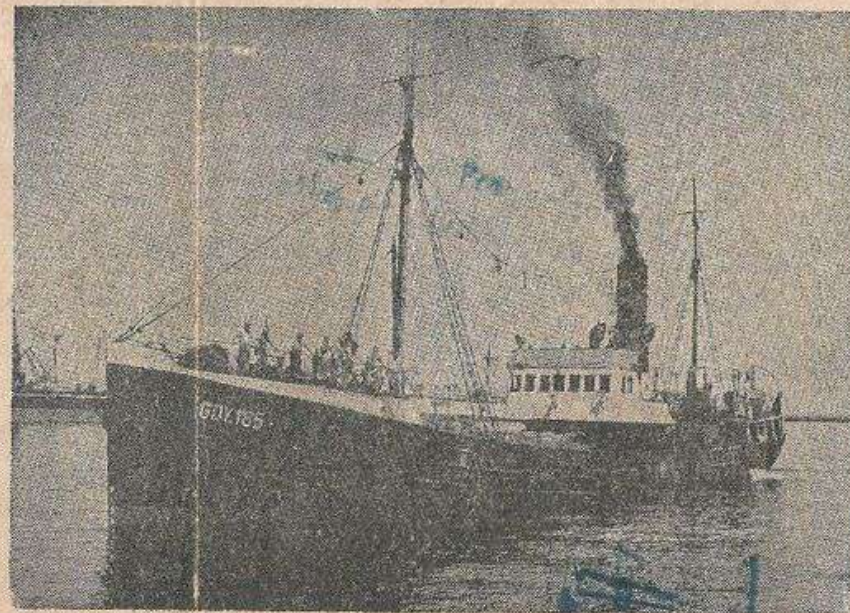
wyraźnie do naszej „Kassiopei”; początkowo szedł za jej rufą, później zrównał bieg i przerzucił rzutkę.

Kapitan Romanowski nie reagował; załoga kończyła wybieranie włoka i nie było czasu na rozmowy. Zresztą łowił z zachowaniem wszelkich obowiązujących go przepisów i prób interwencji francuskiego okrętu uważał za nie na miejscu. A „francuz” nie ustępował; kiedy rzutka zsunęła się z pokładu trawlera, podszedł bliżej i podał ją znowu.

Załoga skończyła już pracę przy włoku. Kapitan polecił teraz przyjąć linę. Rybak pociągnął, zbuchtował i wciągnął na pokład. Na końcu uwiązany był worek z nylonu, a w nim — dwie butelki czerwonego wina i wizytówka francuskiego kapitana ze słowami: Od „Cassiopee” dla „Kassiopei”.

Kapitan Romanowski uśmiechnął się, rozumiał, że to nazwa była powodem załotów francuskiego trawlerca. Do tego samego worka polecił zapakować karton naszego doskonałego żywieckiego piwa i oddał rzutkę na okręt. Sam stanął na skrzydle pomostku, wyciągnął nad głowę złożone dłonie i potrząsając nimi — serdecznym uściskiem dziękował za tak miły gest francuskiemu dowódcy. Ten, wraz ze swoimi oficerami, stał na pomście. Francuzi salutowali. Okręt i trawler żegnały się — uściskiem dłoni i buczeniem syren.

DZIS nie ma już „Kassiopei” na morzu. Bura od rdzy i otarta z farby, pozbawiona wszystkiego co ma jeszcze wartość, czeka swej kolejki przy nabrzeżu ostatniej posługi. Pocięta na złom — zawędruje do hut, a jej stal zmieni się znów w blachy poszycia nowoczesnego trawlera-przetwórnicy, nazwanego — z szacunku dla zasług i tradycji — „Kassiopea”.



Trawler „Kassiopea”

Fot. M. Kabat

H. KABAT